



## Stefania Szantyr-Powolna

część II z III

Sygnatura notacji: **N0760**  
Data urodzenia: **30.07.1924 r.**  
Data nagrania: **24, 25.03.2014 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Piotr Wiejak, Tomasz Piotrowski, Rafał Pękała**  
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 64 min, część III: 58 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Stefania Szantyr-Powolna:** No, ale po tym sądzie przewieziono nas do tego Centralnego Więzienia na Łukiszkach. Przewieziono do takiej ogromnej sali, w której nas chyba było tam około sześćdziesięciu chyba. Chyba sześćdziesiąt nas, same kobiety oczywiście były. Ja odchorowałam jakoś tam przeniesienie, bo siedziałam cały czas w podziemiach, tam światła było tylko skąpego z żarówki parę godzin na dobę, tak że właściwie byłam raczej do ciemności przyzwyczajona i trochę reagowałam oczywiście od razu spojówkami na światło, które było, bo cela miała okno, jakkolwiek z pewnym tam, nie wiem, jak to się nazywa, z takim daszkiem.

**Tomasz Piotrowski:** Namordnikiem?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Tak, ale światło dochodziło. W tej celi słyszałyśmy dzwony na Wielkanoc, bo tam niedaleko był kościół św. Jakuba, właśnie koło więzienia tego łukiskiego. I tam nas spotkała Wielkanoc. A jeszcze w tej celi opowiem, co mi się w ogóle zdarzyło. Spotkałam koleżanki, przyjaciółki moje, zresztą jeszcze z czasów konspiracji i przed konspiracją, i zobaczyłam, że wśród tych wszystkich kobiet krąży tam jedna osoba, taka okryta chustką, która już nie pamiętam, jak się przedstawiała, że się nazywa, ale opowiadała, że ona umie wróżyć i wróżyła każdej po kolei. Przy okazji wyciągała różne wiadomości, gdzie kto w jakiej organizacji pracował, i ja nagle poznałam ją, że ja już się z nią spotkałam kiedyś, i przypomniałam sobie, że w czasie, akurat jadąc z Landwarowa do Warszawy wyskakiwałam z pociągu i skręciłam nogę, właściwie złamałam nawet w kostce, trafiłam do szpitala właśnie św. Jakuba, i tam zresztą był, już nie pamiętam nazwiska doktora, ale doktor, który był w konspiracji, tak że wiedział, dlaczego ja mam tę nogę zresztą w gipsie. I wtedy, to było dużo osób w tej sali szpitalnej, ale w drugim rzędzie przywieziono z raną

postrzałową w okolicy płuc, pamiętam nazwisko Wenckunieni - nazwisko litewskie - i wtedy dowiedziałam się tam, na terenie szpitala, że ona była, ona współpracowała z Niemcami przeciwko właśnie polskim partyzantom i grupom, i nagle ja ją poznaję w tej celi na Łukiszkach, że ona z wszystkimi rozmawia, że się podaje, że była w AK, i ja nagle wstałam i zaczęłam krzyczeć: „Słuchajcie, nie rozmawiajcie, nie opowiadajcie jej nic, bo to jest w ogóle szpieg!”, że ja ją przypominam [sobie], ona była ranna. Ona zaczęła tam coś wykrzykiwać i stukać w drzwi od razu, żeby ją [wypuścić], bo wszystkie zareagowały. Zaczęła stukać w drzwi i konwój ją, żołnierz wyprowadził z celi, już więcej nie wróciła do celi, czyli już po sądzie jeszcze wciąż były te wtyczki, były te możliwości i dążenia do tego, żeby jeszcze jak najwięcej się o tej naszej konspiracji dowiedzieć. I tak po sądzie znalazłyśmy się na Łukiszkach, ale dopiero tam na Łukiszkach spotkałyśmy się w większym takim gronie z koleżankami, których nie widziałyśmy od czasów konspiracji. Trochę opowiadałyśmy sobie. Było nas - już na Łukiszkach - było nas też sporo z tej celi jeszcze ze Słowackiego, i tak opowiadałyśmy, porównywałyśmy te warunki, jakie są w więzieniu. A jak to było na Słowackiego? Więc to, że brakowało nam powietrza, to, że jakimś udawało się czasami sposobem, żeby ta nasza cela była otwarta dłużej - właśnie opowiadałam, że śpiewałam, żeby jakoś więcej powietrza dochodziło. To były te takie promyki jakiegoś słońca w naszym tym życiu, roznoszenie tych zup, ale à propos zup - to była jakaś taka woda w tych puszkach metalowych, jak pływała tam jakaś skórka od grochu, no tośmy stwierdzały, że to była grochówka. To były śmierdzące, brudne puszki, w ogóle nie myte. W ogóle tam w tych warunkach to nie było możliwości się umyć. Wyprowadzano nas chyba raz albo dwa razy na dobę do ubikacji. Ubikacje to były jakieś takie, nie wiem, jak to określić, takie na stojąco. Ta woda tam ściekała, my tą wodą, która ściekała w ubikacji, próbowałyśmy się myć. Niektóre panie próbowały nawet pić, ale nie mogłyśmy się jakoś zdecydować. To wszystko było takie brudne, takie obrzydliwe. Właściwie nie przypominam sobie, jak było z tymi racjami chleba. Byłyśmy codziennie właściwie maltretowane - w nocy były badania, śledztwa, więc w dzień chyba chcieliśmy od tego odpocząć, chociaż nam nie dawano. Chyba jakieś kawałki chleba dostawaliśmy, ale śledztwa były tak intensywne i tak męczące, że chyba nie bardzo wtedy nawet myślałyśmy o tych posiłkach. Pamiętam tylko właśnie tę śmierdzącą zupę i to, żeśmy się nie mogły w ogóle nigdy tam umyć. W więzieniu zdawałoby się, jest już światło, ale warunki też nie były chyba lepsze. Widocznie nasza uwaga była tak skoncentrowana na tym, żeby za dużo nie powiedzieć jeszcze, bo jak opowiadałam o tym, że okazało się, że byłam tam pani, która specjalnie dbała o to, żeby wyciągnąć od nas różne wiadomości, czyli w zasadzie o swojej pracy, o swojej konspiracji myśmy się starały nie mówić, zawsze trzymałyśmy się mocno w karchach. I tak na tych Łukiszkach przesiedziałyśmy do 1 maja, przeżywając w tym czasie święta Wielkiejnocy. W pobliskim kościele biły dzwony i tak nam się przypominało, komu biją dzwony. To było dla nas bardzo takim trudnym przeżyciem, że w święto jesteśmy jednak poza domem, w takich warunkach, że właściwie nasi najbliżsi nie bardzo wiedzą, co się z nami dzieje. W więzieniu kilkakrotnie udawało mi się przemyścić grypsy - a to w takich woreczkach, kiedy podawano nam jakieś małe paczuszki do celi, i wtedy udawało mi się. Nigdy nie wiedziałam, czy te grypsy doszły do domu, czy nie. Już po latach, potem dowiedziałam się, że jednak doszły, gdzieś tam schowane w jakichś szwach tych woreczków.

**Tomasz Piotrowski:** A kto to brał?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Strażnik brał z powrotem worek po opróżnieniu z zawartości.

**Tomasz Piotrowski:** Za darmo?

**Stefania Szantyr-Powolna:** No na pewno rodzice coś tam płacili za to, nie wiem, ale od nas oczywiście nie mógł oczekiwać żadnego za to wynagrodzenia.

**Tomasz Piotrowski:** Pamięta pani, kto to był?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Ja pamiętam tego Rabinowicza, Żyda, który taki był dla nas życzliwy i jakoś wzbudzał... może zaufanie trudno, bo to był człowiek jednak z tego zespołu, ale darzyliśmy go jakąś taką, powiedzmy, sympatią w tym czasie. I tak 1 maja zaczęto nas wyprowadzać z tej celi na Łukiszkach z rzeczami. Pamiętam, jak zeszliśmy na dół, wyszliśmy za wrota więzienia, obok był jakiś czy magazyn, czy sklep, ale miał ogromne takie okna wystawowe, i w tym oknie zobaczyłam znajomą koleżankę, która niby rzekomo myła okna w tym czasie. Zobaczyła mnie, widziałam jej przerażoną twarz, ale już wtedy wierzyłam, że na pewno zawiadomi rodziców, moją mamę, że co się ze mną dzieje. Szykowano transport, mężczyzn chyba wyprowadzono ponad 1000, a nas, kobiet, dwadzieścia kilka, chyba dwadzieścia cztery, już nie pamiętam dokładnie, ale byliśmy na końcu kolumny. To było bardzo uciążliwe. Zmęczone, wygłodzone, zmaltretowane na końcu kolumny, a za nami sfera ujadających psów, gotowa w każdej chwili na nas się rzucić, gdybyśmy się na przykład nie dostosowały do kroku tej kolumny przed nami. I tak szliśmy, szliśmy wszyscy aż na dworzec towarowy. Na dworcu towarowym początkowo musieliśmy, myśmy przykucali, a mężczyźni jakoś tam musieli się inaczej położyć czy siedzieć, w każdym razie po pewnym czasie ładowano nas do wagonów. To były wagony bydłce, brudne, nieoczyszczone, maleńkie zakratowane okienko u góry, a w podłodze dziura zrobiona dla naszych potrzeb fizjologicznych. Załadowano nas do tych wagonów. Jakimś cudem rodziny się chyba dowiedziały, że transport jest przygotowywany, bo widziałyśmy daleko przez okienko za torami tłumy, tłumy ludzi, wśród których na pewno były i nasze matki, nasi ojcowie, ale niestety, rozpoznać twarze ani rozmawiać z nimi nie mogliśmy, to było zbyt daleko. 3 maja transport ruszył. To trudno opowiedzieć, z jakim uczuciem próbowaliśmy dostrzec przez okienko migające domy naszego ukochanego Wilna. Wierzyliśmy, że jeszcze coś się stanie, że się stanie jakiś cud, że się transport zatrzyma, ale transport wciąż pędził do przodu. Pewnego dnia usłyszaliśmy nagle jakieś krzyki na zewnątrz, wołania: „Hurra!”. Nie wiedziałyśmy, co się dzieje. Konwojent z radością poinformował nas, że się skończyła wojna. To było 9 maja. Muszę powiedzieć, że myśmy się też ucieszyły, zaczęłyśmy się całować, że teraz to na pewno wrócimy, bo przecież nas potraktowano nieomalże jak wojskowych jeńców, prawda? I że na pewno to wszystko się jakoś wyjaśni i na pewno szybko wrócimy. Ale niestety, pociąg niestety jechał dalej. W czasie podróży był też taki moment, kiedy nam pozwolono wyjść z wagonu, żeby załatwić swoje potrzeby przed wagonem ku uciechu konwojentów, którzy się ustawili naprzeciwko i zaśmiewali się na nasz widok. Były choroby w czasie transportu, ale w naszym przedziale nikt nie zmarł, natomiast z tego co wiem, w innych wagonach, jeżeli ktoś zmarł, to po prostu wyrzucano z wagonu wtedy tego, kto zmarł i pociąg jechał dalej. I tak po kilku tygodniach dobrnęliśmy do Uchty. Tam zawieziono nas do obozu, który się nazywał Pieresyjny - to jest taki rozdzielczy jak gdyby obóz, z którego jak niewolników rozprowadzano na poszczególne punkty, na poszczególne obozy. Ja jeszcze z koleżankami trafiłyśmy do obozu sowchozu, Sediu się nazywało, sowchoz Sediu. W czasie drogi, kiedy wysiadłyśmy, to jeszcze leżał gdzieś śnieg. Myśmy spragnione piły kałużę z tego roztopionego śniegu, bo w czasie podróży tośmy prawie wody nie dostawały, a dostawałyśmy tylko jakieś kawałki suszonej słonej ryby - bałyśmy się nawet jeść, bo pragnienie było wtedy ogromne - i jakieś kawałeczki chleba, ale to wszystko było mało. Tak w tym obozie, w sowchozie Sediu najprzód było spotkanie z naczelnikiem. Naczelnik wiedział o tym, że ma przed sobą grupę

dziewcząt, które nigdy nie pracowały fizycznie, które nie znały żadnych takich prac żadnych. Uprzedził nas, żebyśmy się trzymały z daleka od kobiet, tam były tylko kryminalistki, w obozie nie było politycznych więźniów, byli też i jacyś mężczyźni, ale chyba nie tak wiele, ale przede wszystkim kobiety. Uprzedził nas naczelnik, żebyśmy nie pożyczaly od nich żadnych kubków, łyżek czy naczyń, bo one wszystkie były chore wenerycznie, poza tym żebyśmy pilnowały swoich rzeczy, dlatego że będziemy okradzione. Kiedy kładłyśmy się spać, tośmy przypinały agrafkami swoje płaszcze, swoje kurtki, swoje ubrania do takiego kocyka. To były takie prycze, nary, na dole i na górze. Myśmy przypinały agrafkami sobie do tych kocyków, żeby czuć, jeżeli pociągnąć za rzeczy, żebyśmy czuły, ale i tak to nie uchroniło, zostałyśmy wkrótce okradzione i z ubrań, i z butów oczywiście, nie miałyśmy swoich butów, i w końcu te nasze buty zostały zamienione takimi łapciami z łyka, do tego dostawałyśmy jakieś onuce i tak wyganiano nas do pracy, do prac w polu. Tam wtedy sadziłyśmy jakieś rozsady buraków, gdzieś tam coś jeszcze wsadzałyśmy do ziemi - jakoś to się nazywało turlepsa, ja nie wiem, co to jest po polsku, coś w rodzaju brukwi chyba, a potem wyganiano nas też na prace do ścinania młodych gałązek brzoź takimi tasakami i kwiatów, pięknych zresztą, naszego wzrostu - to się nazywał lwan czaj, to jest taka znana herbata lwana, piękne liliowe kwiaty. Muszę powiedzieć, że wracając do tych łapci takich, to nieraz mi się w nocy jeszcze śniło, bo to było karane, jeżeli na przykład były łapcie zgubione, a najczęściej to nam się zdarzało, że te łapcie były kradzione - po powrocie z pracy nieraz były wilgotne i onuce, i łapcie, myśmy wieszaly to w suszarniach i z tych suszarni wstawalyśmy nieraz w nocy, żeby pilnować, czy nikt nie zabrał, czy to wyschło, ale zdarzało się, że były kradzione te onuce i łapcie, i nie miałyśmy w co się ubrać. Mnie się też tak zdarzyło, że raz rozpoczął się ten ranny - nie wiem, jak się to nazywa - rozwot, takie wyjście do pracy, to wszystkie brygady stawały koło bramy i pod okiem takiego głównego jakiegoś nadzeraiciela, żołnierza, a także i przedstawiciela z części, znaczy z ambulansu, te brygady wychodziły, i zdarzyło się tak, że musiałam przyjść na to wyjście z bosymi nogami, bo po prostu nie miałam ani kapci, ani onuc. I wtedy ta siostra, która była pilnująca, żeby te drużyny wychodziły, cofnęła mnie i ja zostałam wtedy jeszcze w obrębie obozu, żeby dostać nowe kapcie i nowe onuce. Taka praca na wycięciu tych traw i brzoźek to wcale nie była taka lekka. Miałyśmy normę 200 kilo na osobę. Ważone były bagie i ważone były te nasze wszystkie snopki, które myśmy robiły. To było bardzo trudne ściąć te 200 kilo trawy i tych gałązek. Te dojścia do pracy były też bardzo długie. Jeszcze to były czasy stalinowskie i ten dzień był nienormowany, myśmy pracowały po kilkanaście godzin, a dojście do pracy około dwudziestu kilometrów tam i z powrotem zajmowało też wiele, tak że zostawało nam tylko kilka godzin na jakiś sen. Dopiero po śmierci Stalina już ta norma godzin pracy była dwanaście najwyżej, to też było dużo. No i tak latem pracowałyśmy na polu, natomiast zimą kierowano nas na wyrąb lasu. Na początku naczelnik przyjechał i uczył nas, jak się należy zachowywać, co należy robić. Tam śnieg sięgał zwykle - jak padał - śnieg sięgał powyżej pasa na pewno. Kiedy przychodziliśmy do takiego lasu, to przede wszystkim praca zaczynała się od tego, i tak nas uczył naczelnik, że trzeba wokół drzewa oczyścić pole sięgające aż do ziemi, czyli to dużo tego śniegu trzeba było oczyścić, żeby jak najniżej potem ten pień spać, a średnicę tego wykopu też trzeba uwzględnić, bo na to, żebyśmy mogły piłą poruszać się tam i z powrotem, prawda? No więc uczył nas naczelnik, jak należy spać, jak należy podrybać drzewo, żeby kierować w odpowiednią stronę, później gdzie ono pada, ma padać, ale pomimo wszystkich tych mądrych uwag i mądrych rad i nauk zdarzało się mnóstwo wypadków, bo dochodziło nieraz do tego, że drzewo nie chciało spać, bo to były duże drzewa, skręcało się na pniu i spadało na nasze stopy, więc było wiele przypadków uszkodzenia stóp. Ja miałam też zmiądzony paluch u stopy, moja koleżanka miała uraz kręgosłupa. W każdym razie wypadków takich było sporo. To była ciężka praca, właśnie tak jak powiedziałam, ta praca była bardzo trudna, my nieprzystosowane, nieumiejące pracować

miałymy sporo kłopotu. Pamiętam, jak pierwsze ścięte przeze mnie z koleżanką drzewo wpadło do śniegu, nie umiałyśmy sobie zupełnie z nim poradzić, nie wiedziałyśmy co robić. Siekiery odskakiwały, nie umiałyśmy odrąbywać gałęzi. Groził nam w ogóle brak posiłku i karcer, i wtedy zlitował się nad nami konwojent i naściągął z innych już kubików ustawionych, naściągął nam te bele takie drewna, żeby starczyło na to, żebyśmy nie miały tego tak zwanego odkazu od roboty, że pracowałyśmy, tylko że nie wyrobiłyśmy normy, tak że to nas ratowało. Ale muszę powiedzieć, zdarzały się nieraz w lesie bardzo tragiczne sytuacje. Pamiętam, jak pracowałam z Rosjanką wtedy w parze, wyprostowałyśmy się na chwilkę, żeby odpocząć. Obok mnie, jakieś pół metra ode mnie stała Rosjanka, bardzo piękna dziewczyna, ale kryminalistka, która już miała kilka wyroków na swoim sumieniu, i w pewnym momencie podbiegła do niej Rosjanka i rąbnęła ją w głowę siekierą. Ta głowa prawie rozpadła się na dwie części. W ogóle w pewnym momencie trudno było zrozumieć, co się dzieje, tak jakbym oglądała jakiś film. Dopiero po kilku minutach czy sekundach przyszło jakieś zrozumienie sytuacji, że stała się rzecz straszna. Konwojent oczywiście od razu kazał brygadzie się skupić, zebrać narzędzia, wszystkich zebrał, to trzeba było nieść do obozu. I muszę powiedzieć, że to nie była jakaś chęć zemsty, jakieś porachunki. Absolutnie nie. To były metody wyzbycia się tego przymusu wyjścia do ciężkiej pracy. Po takim czynie one były zabierane do więzienia, miały znowu śledztwo, miały zapewniony ten kawałek chleba, i to było celem właśnie, ażeby coś takiego popełnić. Muszę powiedzieć, że śmierć chyba czyhała na nas na każdym kroku, nawet w baraku. Właśnie powodowane też takimi pobudkami, żeby zmienić miejsce pobytu i pracy Rosjanka i Cyganka zaciągnęły taką starszą panią, która wtedy pełniła jak gdyby dyżur w baraku - baraki były ogromne, po 150 do 200 osób, i one nie wychodziły już do pracy, tylko pilnowały jakiegoś porządku - zaciągnęły, ta Cyganka z tą Rosjanką tę starszkę gdzieś za jakiś taki parawan, który oddzielał umywalkę od baraku i zamordowały ją, też w tym celu, ażeby wywieziono je stamtąd. Ale też jeszcze wracając do lasu, też przypominam [sobie] taki moment, kiedy na chwilkę... my nieraz nie wiedziałyśmy, co z tym chlebem, kawałkiem chleba, który rano dostawałyśmy co zrobić - czy zjeść od razu, czy zabrać ze sobą, bo rano to była tylko taka zupa jakaś - i zabierałyśmy nieraz te kawałki chleba ze sobą, i tak zrobiłyśmy sobie taką krótką przerwę, żeby usiąść, żeby zjeść ten kawałek chleba. Byłyśmy młode, coś opowiadałyśmy, śmiałyśmy się, i nagle podbiegł strażnik, ten konwojent i krzyknął: „Przestańcie się śmiać!”, a jedna powiedziała: „A co, strzelać będziesz?”, a on powiedział: „Będę”. Ona mówi: „No to strzelaj”, i rzeczywiście otworzył ogień. Jedną zabił, jedną ranił. Oczywiście brygada została zdjęta z pracy. Myśmy myślały, że on będzie za to jakoś odpowiadał, ale nie - on dostał nagrodę za to, że rzekomo uniemożliwił próbę ucieczki.

**Tomasz Piotrowski:** A dlaczego on to zrobił?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Bo wolno było strzelać. Za to nie ponosił [kary], za to dostał nagrodę właśnie, mówiąc, że uniemożliwił ucieczkę, że to była próba ucieczki, żeby spowodować jakiś zamęt w brygadzie.

**Tomasz Piotrowski:** Czy on nie był [niezrozumiałe 00:27:23]?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Nie, nie. Wszystko było w porządku. Oni wszyscy byli podobni do siebie. W każdym razie te roboty w lesie były bardzo trudne, ciężkie. Zima też była ostra. Ale na skutek właśnie tych wypadków w lesie zostałam skierowana do centralnego szpitala. Tam została też skierowana moja koleżanka z urazem kręgosłupa, i tak znalazłyśmy się w centralnym szpitalu Wietłosian. O tym szpitalu trochę chcę opowiedzieć, bo to jest taka kartka

w mojej tej historii obozowej ciekawa i mająca pewien wpływ na mnie. To był ogromny, ogromny obóz, podzielony na kilka części, na kilka zon. Jedna zona to była tak zwana robocza, gdzie były różne warsztaty: krawieckie, stolarskie, jakieś inne, już dokładnie nawet nie pamiętam; druga zona to była zona z wieloma barakami tylko męskimi. Koło tej zony znajdowały się za małym ogrodzeniem takie nieduże dwa baraki żeńskie, nas było, kobiet, tam niewiele, i po tym w połączeniu małym takim przejściem zony męskiej prowadził taki drewniany chodniczek do zony szpitalnej. Była bardzo rozległa zona, z wieloma barakami, w których mieściły się poszczególne oddziały: to była interna, chirurgia, stomatologia, dermatologia, psychiatria, rentgen - naprawdę wielorakość takich specjalności. Ten szpital był w ogóle postawiony na bardzo wysokim poziomie. Personelem w tym szpitalu medycznym byli przeważnie profesorowie, którzy się narazili tym, że w czasie kiedy Niemcy weszli na teren Związku Radzieckiego, oni nie zostawili swoich szpitali i pacjentów, a zostali i byli tam przez cały czas, wobec tego to było sprzeniewierzenie się ojczyźnie, i w związku z tym oni trafili do obozów. Niektórzy jeszcze mieli wyroki, a niektórzy już nie mieli wyroków i jako tacy wolni, ale posiadający, ale zesłańcy, zostali w tym szpitalu, tak że fachowość i wiedza była rzeczywiście na wielkim poziomie. Główny lekarz miał bardzo jakieś wysokie ambicje i robił co pewien czas zjazdy, organizował, na które przyjeżdżali specjaliści jeszcze z innych szpitali i z innych okręgów, też którzy na pewno nie mogli opuścić wtedy tej Republiki Komi, bo to się działo w Republice Komi, i tam się zjeżdżali. Między innymi tam pewnego razu przyjechał Henryk Jasiński, bo on w obozie męskim zasłynął jako specjalista od rentgena, a w tym obozie, w tym szpitalu Wietłosian coś tam trzeba było, jakichś konsultacji do aparatury rentgenowskiej, i wtedy Henryk tam się zjawił, i nagle ze zdziwieniem zobaczyłam, że to, co widziałam się z nim na tej ulicy wtedy, w tym mieszkaniu - to była ta ulica, już mówiłam, nie Połtawska, ale podobna, pod numerem 9...

**Tomasz Piotrowski:** Połoska.

**Stefania Szantyr-Powolna:** Połoska, właśnie, nr 9 zresztą, bo pamiętam, i nagle tego Henryka spotykam, tam właśnie w szpitalu myśmy się spotkali, spotkanie było przedziwne i wzruszające zresztą. Więc w tym szpitalu jako pacjentka, a wkrótce ponieważ lekarz główny darzył wielką sympatią Polki, tam główną siostrą medyczną była Polka, która też w jakiś sposób trafiła i tam organizowała, tak że właściwie po tym dzięki niej i dzięki głównemu lekarzowi byłam zatrudniona w laboratorium, tam nawet były urządzane kursy dla siostr laborantek i tam chodziłyśmy. Pracowałyśmy wtedy właśnie, ja pracowałam w laboratorium, ale czasami dla przypomnienia, kim my jesteśmy, wyprowadzano na tak zwane ogólne prace, żebyśmy jednak czuły, że my stworzone jesteśmy do innych prac. Ja zresztą miałam... Aha, właśnie. Ja nie opowiedziałam o tym, że miałam, urządziłam Wigilię Bożego Narodzenia w pierwszą Wigilię w obozie, i za to miałam wyrok właściwie srogiego...

**Tomasz Piotrowski:** Karceru?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Tak. I w mojej kartotece była też adnotacja, że nie wolno mnie zatrudniać na żadnych pracach innych, tylko na ogólnych. Ale może cofnę się do tego wspomnienia tej pierwszej Wigilii. Zbliżała się pierwsza Wigilia w naszym obozie, właśnie w tym sowchozie Sediu. Wiedziałyśmy, że ta pierwsza Wigilia, z dala od naszych rodzin, od domów, od najbliższych, od ojczyzny to będzie na pewno przeżyciem niesamowitym, ale postanowiłyśmy wtedy, że będziemy silne, że nie będziemy się roztkliwiać, że nie będziemy płakać - że po prostu będziemy myślami



w domach, ale będziemy silne i tę Wigilię urządzimy razem, i wówczas przyniosłyśmy nasze racje, a te racje nasze obiadowe to była łyżka kaszy do miseczki, polana taką kroplą oleju. Przyniosłyśmy te miseczki z tą kaszą do obozu, do baraku, zostawiłyśmy nasz chleb, który był dla nas opłatkiem, ja wtedy ułożyłam wiązankę o naszym życiu tym obozowym, i kiedy usiadłyśmy do tego stołu, zaśpiewałam tę kołysankę, tę naszą piosenkę właściwie obozową, jedna z koleżanek jakieś tam sztuczki wyprawiała, coś pokazywała, ale przede wszystkim podzieliłyśmy się chlebem, złożyłyśmy sobie życzenia, zjadłyśmy kutię i zaczęłyśmy śpiewać, zaczęłyśmy „Wśród nocnej ciszy”, „Bóg się rodzi” i poczułyśmy się wtedy - to jest dziwne, ale poczułyśmy się wtedy tak silne, tak mocne, poczułyśmy, że wytrwamy, że na pewno zniesiemy i te trudy, i głód, i upokorzenia, że na pewno to wytrzymamy. I nagle stwierdziłyśmy, że wokół nas ustawiły się Rosjanki, wszystkie mieszkanki tego baraku, podziwiając nie tylko nasze kolędy, ale zdziwione ogromnie, że my w tych warunkach możemy czuć się szczęśliwe. A myśmy były szczęśliwe, i jeszcze długo te kolędy śpiewałyśmy, a kiedy skończyłyśmy, zaczęłyśmy się rozchodzić do swoich miejsc. Ja jeszcze nie zdążyłam się położyć na swojej pryczy, kiedy wkroczyło kilku żołnierzy do baraku, zrobili rewizję u mnie osobistą i w moim łóżku znaleźli tę karteczkę z napisaną piosenką i tak jak stałam w sukience, odprowadzili mnie do karceru. Było wtedy bardzo zimno i w karcerze nie można było właśnie wytrzymać, kiedy było tylko parę stopni w karcerze ciepła, ale ponieważ przestępstwo było tak wielkie, więc zabrano mnie do tego karceru. Moją przyjaciółka wyprosiła komendanta karceru, żeby pozwolił podać mi tiefogrejkę - tiefogrejka to jest taka watowana kurtka, którą myśmy nosiły. A więc dostałam tę tiefogrejkę w tej celi, w karcerze, bo to było takie małe pomieszczenie, stała prycza, która przylegała do ściany. Położyłam się na tej pryczy, na tej tiefogrejce, ale kiedy poczułam, że mi włosy przymarzają do ściany, to zeszłam z tej pryczy i ulokowałam się w kącie, w pobliżu ściany, która graniczyła z korytarzem. Światła w tej celi nie było, w żadnym karcerze, tylko nad drzwiami był taki prześwit i z korytarza to światło się tak do tego karceru dostawało. Chyba tam przysnęłam, ale w pewnym momencie poczułam, usłyszałam jakiś pisk i poczułam, że coś mnie poruszyło za nogę, więc się poderwałam i zobaczyłam, że w małej odległości ode mnie siedzi jakieś stworzenie takie ogromne jak kot, ale po pewnym czasie kiedy zobaczyłam, że to stworzenie ma długi, cienki ogon i takie czerwone w tym światełku, które przenikało, czerwone wpatrzony we mnie oczy, zrozumiałam, że to szczur. Byłam przerażona, bo nigdy nie miałam takiej możliwości obcowania ze szczurem, a w dodatku słyszałam, że szczury były w tym czasie bardzo niebezpieczne, bo potrafiły we śnie... buszowały po barakach, potrafiły we śnie odgryzać nosy i palce ludziom, tak że bałam się, ale po pewnym czasie zaczęłam z nim rozmawiać, a że to był wieczór wigilijny zaczęłam śpiewać kolędy. I tak śpiewałam bez przerwy, a szczur siedział naprzeciwko mnie i się w ogóle nie ruszał, w ogóle nie odchodził ode mnie, cały czas siedział.

**Tomasz Piotrowski:** Słuchał.

**Stefania Szantyr-Powolna:** Tak, słuchał. I kiedy rano przyszedł strażnik, żeby mi tam dać czy kawałek chleba czy coś, to ten szczur wtedy uciekał, ale potem zjawiał się za chwilę znowuż i znowuż siedział koło mnie. Muszę powiedzieć, że przyzwyczaiłam się już później do jego obecności, już po paru nocach chyba to nawet sobie nieraz drzemałam, ale szczur mi nie robił żadnej krzywdy. Siedziałam tak dziesięć dni i dziesięć nocy w tym karcerze. Kiedy wyszłam z karceru i kiedy opowiadałam o tym w baraku współwięźniom, to nie chcieli po prostu wszyscy wierzyć, że szczur mnie nie ruszył, że właśnie były te wypadki takie napadania szczurów na więźniów, i wtedy doszłyśmy do wniosku, że szczury są na pewno bardzo muzykalne i że ta opowieść, że szczury zostały wyprowadzone gdzieś

przy dźwiękach fletu z miasta, to może miała rzeczywiście... może to prawda, może tak naprawdę było. Ja na pewno odchorowałam, później znalazłam się jeszcze w szpitaliku, bo miałam odmrożone, jakoś przemrożone okolice nerek i tutaj miałam kłopoty, ale w każdym razie ta Wigilia to była ta nasza pierwsza Wigilia w obozie. Ale zaczęłam mówić, że się znalazłam już teraz w szpitalu na Wietłosianie. Chcę powiedzieć, że personel był dla nas, dla Polaków, dla Polek ogromnie życzliwy, ogromnie serdeczny, zawsze pomocny. I tak zaczęłam w laboratorium na prośbę tej głównej siostry chyba i tej interwencji lekarza głównego jako jeszcze pacjentka, żebym pracowała w laboratorium. Pracowała, też zaczęła pracować tam też ta moja przyjaciółka. Zbliżało się Boże Narodzenie, chcieliśmy też jakoś przeżyć te święta, i wtedy zebrało się nas sporo osób, bo chyba dwie Litwinki, dwie Łotyszki, Estonka, felczer taki, Polak, po tym Estoniec, inżynier, lekarz Niemiec i jeszcze taki był poeta, Rosjanin - Gurwicz, pamiętam, i jeszcze drugi. To były ciekawe bardzo osobistości, katolicy, którzy też chcieli z nami jakoś ten wieczór wigilijny spędzić.

**Tomasz Piotrowski:** Ale to już były inne święta? To nie były święta czterdziestego czwartego roku?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Nie, ta Wigilia w obozie też już nie był czterdziesty, a czterdziesty piąty rok, a ten teraz do Wietłosiana to był któryś kolejny, siódmy czy ósmy rok. I muszę powiedzieć, moja koleżanka z chleba zrobiła jakiś taki, to nie był piernik, coś takiego, w jakimś piecyku coś tam zapiekła i to było naszym opłatkiem, zebraliśmy się w laboratorium, usiedliśmy na podłodze, ażeby jeżeli będzie jakaś straż chodziła po obozie, bo to było na terenie szpitala, żeby przez okna nas nie było widać. Usiedliśmy na podłodze, zrobiliśmy jakąś choinkę, ja zrobiłam z jakiejś waty jakieś takie zabaweczki na tej choince. Przełamaliśmy się tym opłatkiem i wtedy ktoś zaczął „Cicha noc” - „Cicha noc”, która we wszystkich językach jest znana - i wtedy ten wieczór wszyscy zaczęliśmy, każdy w swoim języku, zaczęliśmy śpiewać „Cicha noc”. To było niesamowite. Wszyscy jak gdyby byliśmy razem, ale każdy był jak gdyby zupełnie oddzielnie ze swoimi myślami, z tymi myślami i z tym sercem wysyłanym gdzieś daleko w przestrzeń. Łączyła nas ta jedyna kolęda „Cicha noc, święta noc”. Nigdy tej Wigilii nie zapomnę. Jeszcze w tym obozie zdarzyła mi się też niesamowita historia: jakby było mało, jeszcze poniżej tego zbliżenia właściwie do śmierci, być w pobliżu śmierci, jeszcze był jeden taki moment, który też jakimś cudem przeżyłam. Tak jak wspominałam, z tego naszego baraku żeńskiego, który był blisko zony męskiej, wiodła taka mała ścieżka, to dosłownie było kilka metrów, trzeba było przejść obok baraku męskiego, żeby wejść do zony szpitalnej. Pewnego razu, kiedy szłam do pracy, musiałam przejść koło takich narożnych okien tego baraku męskiego, i trzeba trafu, że w tym momencie bandziory, bo tylko tak ich można nazwać - to byli kryminaliści, którzy mieli po wiele wyroków na swoim sumieniu - grali w karty, z nudów grali w karty o tego pierwszego, kto przejdzie koło ich okien. I to byłam ja. Dowiedziałam się o tym od lekarza stomatologa, dentysty, który był Ormianinem, cenili wszyscy z tego bandyckiego, że tak powiem świata, no bo potrzebowali jego opieki, i któryś z nich tak szepnął z litości, że szkoda tej dziewczynki, że została przegrana w karty. Wiadomość ta obiegła bardzo szybko cały obóz, cały personel medyczny. Lekarz główny nie bardzo wiedział, co w tej sytuacji począć, nie pozwolił mi się w ogóle wydostawać już poza teren szpitalny, tylko żebym nocowała też w laboratorium. Zawiadomił o tym naczelnika obozu, ale naczelnik obozu powiedział, że jest bezradny, że on właściwie nie ma wpływu na to, ażeby móc coś w tej sytuacji zrobić, bo nawet konwojenci bali się wchodzić do baraków męskich, bo nieraz byli mordowani tam przez tych bandziorów, czyli świat właściwie był terroryzowany i opanowany właściwie przez ten świat kryminalny. Ale stał się naprawdę cud: na oddziale wewnętrznym pracowała siostra medyczna, Estonka, nazywała się Made Tikerpuu. Byłam z nią bardzo zaprzyjaźniona, to była wspaniała, śliczna dziewczyna, taka urocza, że tam



dookoła wszyscy się w niej właściwie kochali, razem z pacjentami, razem z tymi bandziorami, którzy tam leżeli. W tym okresie na oddziale też leżał jeden z przywódców tych kryminalistów. Kiedy zobaczył, był zakochany w tej Madzie podobno bardzo. W wyroku miałam katorgę, ale znalazłam się w jakimś okresie w związku z innymi na tych obozach w Sediu, w obozie i potem na tym Wietłosianie, i zostałam zabrana do transportu, który właśnie był skierowany na Workutę. Ten obóz był rzeczywiście zupełnie inny: tam nie mieliśmy nazwisk, tam mieliśmy tylko numery - numery, które były naszyte na spodnicach, na kurtkach, na czapkach. Traktowanie było okropne. Do nas się też nie zwracano przez nazwisko, tylko przez właśnie... tylko wywołując numery nasze. Sprawdzian w takim obozie był uciążliwy, bo wywoływano numer, trzeba było powiedzieć wtedy swoje nazwisko, imię i otczestwo. [Były] takie sprawdziany wieczorne, kazano nam wtedy w czasie tych sprawdzianów wstawać - oczywiście z łóżek wstawaliśmy boso, bośmy nasze rzeczy zostawiały w suszarkach - stawaliśmy boso na zamrożonych podłogach i czekałyśmy, żeby te rachunki ogólne z tych baraków, których było bardzo wiele, żeby się zgadzały. Nieraz jak się nie zgadzały, no to musiałyśmy stać godzinę albo i więcej, aż się taki rachunek wszystkich więźniów zgodził.

**Tomasz Piotrowski:** Czy miejscowa ludność też bywała w tych obozach?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Absolutnie nie, to były Rosjanki. Ja trafiłam do obozu żeńskiego - były Rosjanki i bardzo dużo Ukrainek. Muszę powiedzieć, że były bardzo uciążliwe rewizje. Były rewizje ogólne, kiedy nas wyganiano z baraku i kiedy sprawdzano nasze łóżka, pościelenie i każdy najmniejszy skrawek papieru likwidowano, ale były też trudne takie rewizje osobiste, kiedy rozbierano i szukano. Bardzo despotyczne i bardzo takie były okrutne kobiety strażniczki, które krzyczały, poniżały nas, kazały już z daleka sobie kłaniać się, mówić zdrastujcie tam naczałnik czy coś takiego. To były trudne bardzo dni, a muszę powiedzieć, że wejście do takiego baraku jeszcze, kiedy przyjechaliśmy, to był cały teren zaśnieżony i właściwie nie było widać tych baraków ani domów, i po tym tylko zobaczyłyśmy kominy i przy tych kominach taki roztopiony śnieg i jak gdyby taki ślizg do środka, do baraku, i zjeżdżałyśmy rzeczywiście, w tym śniegu zjeżdżałyśmy tam do środka, do baraku i tak samo po tym chodziłyśmy, tyle było śniegu w tym obozie. Te obozy, też siedziałam w karcerze, bo zrobiłam sobie, wyskubałam watę z koca i zrobiłam małego Mikołaja, postawiłam koło siebie na pryczy, właśnie na Boże Narodzenie, i to znalazły wieczniewnie robiące rewizje te strażniczki, i za to też miałam pięć dób karceru, za tego Mikołaja. Praca była bardzo różna w tych obozach. Przede wszystkim zimą to było głównie odśnieżanie. Wyprowadzano nas na tereny zasypane śniegiem, przeważnie w okolice dworca, gdzie zasypane były tory i pociąg nie mógł przejechać.

**Tomasz Piotrowski:** I gdzie to było?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Słucham?

**Tomasz Piotrowski:** W którym miejscu?

**Stefania Szantyr-Powolna:** Na Workucie, wyprowadzano nas z obozu Workuta i zaprowadzano na dworce, ażeby oczyszczać. A muszę powiedzieć, skąd te takie jeszcze trudne do usunięcia śniegi - więc tam było bardzo ciekawe takie zjawisko przyrody, które się nazywało „purga”. Ta purga to zaczynała się w ten sposób, że zaczynały

padać płatki śniegu, coraz większe, nieraz to nawet wielkości dłoni. Te płatki były coraz gęstsze, do tego dołączał się wiatr, ale wiatr tak silny i tak wyjący, że my, stojące obok siebie około metra-pół metra, nie mogłyśmy siebie nawet słyszeć. Ten wiatr powodował, że śnieg był wbijany, myśmy były ubrane w teflogrejki, jak mówiłam, watowane kurtki, na to jeszcze dłuższe takie buszłaty, które też były watowane, długie, byłyśmy ubrane w ciepłe, watowane czapki, rękawice, tutaj zresztą zakryte twarze, ponieważ sobie odmrażałyśmy, ale ten wiatr był tak przejmujący i tak silny, że przebijał przez buszłaty, przez teflogrejki, wbijał nam ten śnieg aż do ciała, tak że myśmy czuły ten mroźący śnieg na sobie. I muszę powiedzieć, że ja nigdy, ani przed tym, ani po tym nie słyszałam tylu przekleństw dotyczących i rodziny, i Boga, i ojczyzny, i wszystkich, ile właśnie tam w czasie tych prac, w czasie tej purgi. Zdarzały się też nieszczęścia. Ten śnieg był tak mocno zbity, że żeby usuwać te zwały śniegu, musiałyśmy stosować kilofy, bo łopaty nawet nie pomagały, musiałyśmy rozbijać. Ten śnieg, nieraz te zwały śniegu dochodziły do sześciometrowej wysokości, a myśmy były wyganiane na pracę, a żeby przebić w tym śniegu tunele, żeby pociąg, z lokomotywą oczywiście na czele, żeby mógł przejechać tymi torami. Oczywiście te tunele starałyśmy się robić tak, żeby pociąg przejechał, ale jednocześnie ponieważ to była bardzo trudna praca, wyrzucanie tego śniegu, więc na nasze możliwości dostosowywałyśmy się tylko tak, żeby się zmieścić, żeby nas pociąg przejeżdżający nie zahaczył. Ale zdarzyło się właśnie w czasie purgi, że nadjeżdżał pociąg i z powodu wycia tego wiatru myśmy nawet nie słyszały, że pociąg się zbliża i dopiero zobaczyłyśmy zbliżające się reflektory lokomotywy. Oczywiście przyłgnęłyśmy do tej ściany śniegu, ale naszą brygadierkę lokomotywa zahaczyła za spódnicę, bo był taki silny wiatr, i pociągnęła ją, ciągnęła ją dłuższy czas i na najbliższej zwrotnicy ona została tak roztrzaskana o tę zwrotnicę. Zginęła. A jeszcze wracając do tej purgi, to często żołnierze, konwojenci nie chcieli wychodzić z brygadami do pracy, dlatego że były też przypadki, że jeżeli taka brygada znalazła się na przykład gdzieś na odcinku jakiegoś otwartego pola, to były zasypane i dopiero na wiosnę, po stopieniu śniegu dopiero okazało się, gdzie się ta brygada znajduje.

**Tomasz Piotrowski:** Błądzili?

**Stefania Szantyr-Powolna:** No nie mogli trafić nawet, bo starali się skupić i czekać na miejscu, aż ta purga przejdzie, bo nie sposób było maszerować w czasie takiego wiatru.

**Tomasz Piotrowski:** I jak długo to wiało?

**Stefania Szantyr-Powolna:** No, dobrych kilka godzin taka purga [trwała]. Były takie bardzo [gwałtowne] zjawiska, ale były też piękne, muszę powiedzieć, zjawiska zorzy polarnej. Nieraz w nocy zrywałyśmy się, nawet budziłyśmy się, żeby obejrzeć, bo to było coś pięknego - całe niebo w jakichś takich orgiach światła. Najwięcej było światła seledynowego, ale to było takie jak organy przelewające się, nieraz różne kształty, nieraz jak otwartego nieba. To były precudne naprawdę zjawiska, które pomimo tej całej grozy i przeżywanego tego koszmaru tam, to jednak to zjawisko było cudowne. Ale muszę powiedzieć jeszcze, że to były zimy, i tam zimą jest w zasadzie... i tam jest właściwie, na Workucie to jest pół roku noc, pół roku dzień - zimą jest noc, a już od miesięcy wcześniejszych wiosny zaczyna się dzień. Śnieg tam długo trwa, tam jeszcze w miesiącach letnich w ogóle ziemia... nie ma ziemi rozmarznętej. Tam zawsze zima jest, tak wieczna zmarzlina, ale zawsze zamarznęta, ale śnieg topniał i w ciągu tych paru tygodni, to są jakieś trzy tygodnie lata albo najwyżej... nigdy cztery, kwitły piękne kwiaty, najczęściej w kolorze żółtym, prawie jak nasze

róże, piękne, i były jakieś ptaszki na wysokich nóżkach, tam też chodziły, nie wiem jakie. W każdym razie ten okres tego lata miał te takie właśnie swoje [uroki] i słońce bez przerwy na niebie, niezachodzące - jedynie tylko to, że się spuszczało gdzieś na horyzoncie i te promienie nie były takie ostre, że nie można było patrzeć, tylko jak kula taka słoneczna wisiała jeszcze nad ziemią, tak że to było lato. I latem prowadzono nas na różne innego rodzaju roboty: budowałyśmy, ponieważ ja byłam w obozie, który właściwie był cegielnią, to budowałyśmy tam jeszcze dodatkowe takie rusztowania dla pieców do cegieł, biegaliśmy po tych krokwiach, bez żadnego zabezpieczenia budowałyśmy, ale najgorszym momentem, który wspominam z tego pobytu, to było budowanie kolei, która miała połączyć Europę z Azją, i do tego wybrano taki odcinek, jak się kończy na mapie Ural i tam jest taki przesmyk już nizinny, to właśnie tamtędy miała biec ta kolej europejsko-azjatycka. Wieziono nas tam, to było daleko od obozu, więc dowożono, i przywożono, nas właściwie widziałyśmy tylko tundrę, przerażającą tundrę, mokradła tundry, poza tym wśród takiej wody jak gdyby wysepki gdzieś średnicy około metra, nie więcej, może mniej, wysepki z takimi grzywami trawy. To było bardzo niebezpieczne, bo to były takie słupy ziemi idące głęboko w tę wodę i nawet były niebezpieczne, żeby stawać na to, bo one się chwiały, i było niebezpieczeństwo, że można wpaść do wody. Woda była głęboka, powyżej dwóch metrów nieraz, tak że to było to niebezpieczeństwo, a nasza praca polegała na tym, że myśmy do tej wody między tymi wyspami, między tymi kolumnami ziemnymi musiały zsypanywać żwir, kamienie, ażeby po prostu stworzyć jakąś płaszczyznę, na którą mogły wjechać już wagonetki małe. Z tych wagonetek po tym wysypywany był też ten żwir i cały czas usypywałyśmy, tę wodę zasypywałyśmy, aż dochodziło do tego, że już można było położyć mocniejsze tory i całe platformy wjeżdżały na to i musiałyśmy rozładowywać te platformy. To była ogromna platforma, załadowana żwirem i kamieniami, to była norma na dwie osoby - z jednej strony platformy i z drugiej stawałyśmy, i to rozrzucaliśmy. Ta praca była bardzo ciężka, bardzo trudna, ale jeszcze co było bardzo uciążliwe - komary i muszki. Mimo to, że miałyśmy nakomarniki, to nic nie pomagało, te muszki zwłaszcza dostawały się pod nakomarniki i rozjadały nam twarz, zwłaszcza spojówki, że nieraz płynęły takie ciurki krwi po twarzy właśnie z tych spojówek rozjedzonych przez te muszki. Proszę państwa, w pewnym momencie gdzieś nawet chyba był taki fotograf z naszego środowiska, chyba się nazywał Tomek Kizny, który fotografował tę drogę, którą nazywano „donikąd”. W ogólnej wiadomości było podane, że tę drogę budowali komsomolcy, ale ta droga w ogóle nigdy nie powstała i została tak przerwana. W każdym razie, proszę państwa, na tej Workucie może jeszcze też taki jeszcze incydent, który też przeżyłam: w pewnym okresie zjawiał się na terenie obozu nowy prokurator, który odwiedzał obóz, zaglądał wszędzie, i było tak, że nieraz wieczorem budziłam się, bo on z latarką stał przy mojej pryczy i świecił na mnie, po prostu sprawdzając ten nasz barak. I kiedyś było tak, że nasza brygada nie została wyprowadzona do pracy na zewnątrz, a została na terenie obozu i miałyśmy do rozładowywania całe platformy załadowane węglem. W pewnym momencie prokurator podszedł do mojej brygadierki i powiedział, że chce ze mną rozmawiać. No więc zaprowadził, zabrał mnie z tej brygady i zaprowadził do pomieszczenia, które zamknął zresztą na taki haczyk. Ja byłam trochę zdziwiona, ale powiedział prokurator, że on jest prokuratorem, że ja po tych różnych moich wybrykach mam zakaz otrzymywania korespondencji i że on w ogóle znalazł list od mojej mamy do mnie i że chce przeczytać ten list, co mama napisała. No, dowiedziałam się, że tatuś nie żyje, dowiedziałam się... on mi nie dał tego listu do rąk, ale powiedział, że właśnie nie mam prawa pisanego, nie mam prawa odpisywać i nie mam prawa otrzymania. Zbliżył się do mnie, chciał mnie objąć, chciał mnie pocałować, i wtedy ja uderzyłam go w twarz - uderzyłam w twarz i byłam przerażona, co to teraz dalej będzie, ale podbiegam do drzwi, otworzyłam ten haczyk, podbiegłam do brygadierki, powiedziałam, że co teraz będzie - ona była przerażona, bo nigdy nie było takich oporów przed władzą. Ale muszę powiedzieć, że jakoś to przeminęło i nie

było żadnych konsekwencji, ale po pewnym czasie znowu nasza brygada została zatrzymana w pracy na terenie obozu i znowu pojawił się ten prokurator, i znowu poprosił brygadierkę, że chce ze mną rozmawiać. Szłam ciężko przerażona, ale znowu w tym samym pokoju powiedział, że znowu ma list od mojej mamy, że bym sobie przeczytała i po tym powiedział, że on wyjeżdża, że to jest jego ostatnia wizyta na naszym obozie i że ja jemu zaimponowałam swoją postawą, i że on mi chciał o tym powiedzieć, i powiedział, że bym się tak dalej trzymała. Przeczytałam ten list, podziękowałam mu i wróciłam do brygady.

[KONIEC NAGRANIA 01:04:10]